ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok I. Warszawa, dnia 18 września 1909 r. № 38.

Wacław Gąsiorowski.

EMILIA PLATER.

26 Powieść historyczna.

— Cierpliwość!.. Możnaż zrywającym się do lotu orłom o cierpliwości mówić? Możnaż opóźnić to, co samo przez się z braku cierpliwości się rodzi? Nie do nieposłuszeństwa nakłaniam, lecz do wiary w siebie, we własne siły. Doświadczeni statyści nie sprostają teraz. Ich prawo stanowić, gdy fala grzbiet najeży... Opanowanie Dyneburga da nam oścień, da nam punkt oparcia, da nam hasło nad hasłami... Zanim armia Dybicza zdoła zmierzyć grożące jej na tyłach niebezpieczeństwo, już oddziały powstańcze szarpać będą jej aryergardę, już Dyneburg wyszczerzy paszcze armat na swoich budowniczych! Nie oglądajcie się na wiekiem pochylonych, na Warszawę patrzcie... a mrowie za wami ruszy, pójdą nie tylko młodzi, ale i starcy, i dzieci, i kobiety! Dwóch was jest Platerów między podchorążymi, tedy po dwakroć silniej pamiętać wam należy, iż Platerowie nie tylko umieli bronić Dyneburga, ale i zdobywać go potrafili.

— Wilhelm Plater, pułkownik, za Batorego—wtrącił pan Kazimierz.

— A rodzic kuzyna, jako major inżynierów w brygadzie Radziwiłła pod Macdonaldem w roku dwunastym.

Ten sejmik sprawił, że gdy starszyzna rodu, po ukończeniu narad, zeszła się z młodzieżą i, dla jej nauki, zaczęła napomykać o potrzebie chłodnej rozwagi, twarze sejmikowiczów takiemi płomieniami zapłonęły, iż pan Adam krasławski trącił nieznacznie pana Michała szlosberskiego, pan Stanisław dowgieliski ku panu Gasparowi antuzowskiemu spojrzał, i nauka, pracowicie ukuta, prysła raptem. A że nadto imć pan Ignacy dąbrowicki wspomniał coś o swej artyleryjskiej służbie, tedy w panach Michale i Stanisławie majorskie zagrały szarże i rozmowa aż zadudniła od bitewnej wrzawy.

Po tym pamiętnym zjeździe familijnym, który w łonie starszyzny stanowił, aby, bez nowego zebrania, nic w pojedynkę nie przedsiębrać, ład prastary rodu najniespodziewaniej prysnął i w ten sposób, że gdy pan Adam krasławski w sumieniu swem czynił sobie wyrzuty za uchylenie się od zachowania onej rezerwy, takież same wyrzuty doskwierały panom Michałowi, Gasparowi, Ignacemu i Stanisławowi. Krótko atoli trwały te zatargi z sumieniem, cios stanowczy zadał im pachołek, przybyły do Szlosberga z listem od pana referendarza z Warszawy. List a raczej lakoniczna kartka zawierała wiadomość, iż pan Ludwik jedzie, aby z generałem Kniaziewiczem szukać w Paryżu pomocy dla wkrzeszonej Polski, oraz że najstarszy syn pana Jana, Edward, zaciągnął się do artyleryi, a pan Jan, wedle sił, służy dobrej sprawie. Pan Michał strzymać nie mógł i tego samego dnia jeszcze wyprawił posyłki do rodzeństwa i krewniaków i ze swego przeniewierstwa się wyspowiadał. Aliści, zanim posyłki traktu dopadli, zjawili się forysie z Antuzowa, Dowgieliszek i Krasławia, przywożąc panu Michałowi oświadczenia, choć inaczej poczęte, ale kubek w kubek w sensie ostatecznym do pisania pana Michała podobne. Pan Adam mówił o nowinach, odebranych od Gabryela Ogińskiego i Morikoniego z Sół; pan Stanisław przyznawał się do zakupienia kilku baryłek prochu od markietanów, którzy za wojskiem, idącem ku Wiśle, ciągnęli, pan Gaspar mówił, iż nie mógł uchylić się od zbierania grosza publicznego i że Dowgiałło takoż postąpił, pan Ignacy zaś z Dąbrowicy wręcz zawiadomił, że do szeregu musi, bo inaczej i sobieby obmierzł, i panu podkomorzemu, i panu Sobańskiemu.

W siedzibach Platerów, po wymianie tych listów, rozruch przy-

tłumiony się wszczął. Niby z pozoru zwykłym trybem życie się układało, niby nic się nie zmieniło, a przecież inaczej poglądały matki na synów, inaczej żony do mężów się tuliły. Lecz, co w rozruchu tym było niepojętem, że rozległ się najsilniej tam właśnie, kędy go się najmniej należało spodziewać, bo w Liksnie.

Pani podkomorzyna Zybergowa na domiar sama sobie wytłómaczyć nie umiała, jak się to stało, iż miast się spierać z hrabianką Emilią, miast bronić ją przed szaleństwem oczywistem, nie wiadomo dokąd wiodącem, sama ze swoją wychowanką układała rewolucyjne plany, sama pomagała jej w szyciu sztandaru, sama zabiegała, byle z Dyneburga czyli aż z Rygi wydostać od wypadku jeszcze ze strzelb kilka, jeszcze z kilka funtów prochu.

Czary istne, czary naszły sędziwą opiekunkę hrabianki i czary tak mocne, że choć czuła je, rozumiała ich grozę, nie mogła im się oprzeć, nie potrafiła im ujść.

Niekiedy, w chwilach, gdy brakło podkomorzynie widoku Emilii, gdy ta ostatnia rwała samotrzeć konno lub pędziła saneczkami na krańce włości, panią Zybergową bunt ogarniał. I wówczas po stokroć razy zaklinała się, iż się oprze urojeniom dziewczyny, iż nie zezwoli, aby mieszała się do spraw, dla kobiety nie przystojnych, iż nie tknie więcej tych fatałaszków wojskowych, z których jeno denuncyacya i sroga kontrybucya może wypaść. Ale, gdy winowajczyni stawała przed podkomorzyną, gdy nachodził moment stanowczego ataku, już po kilku słowach hrabianki panią Zybergową nachodziła niemoc słowa, a za nią tuż owe czary porywały ją, unosiły. I nie ją samą tylko. Wszakci pani podkomorzyna, własnej nie dowierzając energii, uciekła się do odsieczy Maryni Mohlówny. Mohlówna zjechała do Liksny, odbyła z panią Zybergową długą rozmowę, przyznała jej trwogom najsłuszniejszą racyę i udała się do komnatki Emilii. Ba, ale kiedy podkomorzyna, nie mogąc doczekać końca interwencyi, zajrzała do komnatki, zastała Mohlównę pochyloną razem ze swą siostrzenicą nad szyciem z komiśnego sukna czamary żołnierskiej. Nie lepiej powiodło się pani Gasparowej, nie lepiej Dowgiałłowej.

Pani podkomorzyna w ostatku zebrała się na krok decydujący, i, pod wpływem większej, niż zazwyczaj, rozterki, bo Emilka aż za Dryświackie jezioro na dwa dni wyruszyła, napisała obszerny list do Krasławia, do pana Adama. Pan Adam nie mitrężył i natychmiast do Liksny przybył. Pani podkomorzyna pewną była wygranej. Kto jak kto, ale pan Adam, człek uczony niezmiernie, po księgach szperający a posiadający i dla wiedzy swej, i dla zacności serca wpływ na Emilkę, był tu najniezawodniejszym. Tymczasem, gdy w rozognionem, promieniejącem obliczu, z którem pan Adam po rozprawie stanął przed podkomorzyną, pani Zybergowa już pomyślną znalazła odpowiedź, — pan Adam jeno zawilgłemi oczyma mrugnął i rzekł ze drżeniem w głosie.

— Kuzynko dobrodziejko, jeno błogosławić mogę hartowi ducha Emilki, jeno wielbić w niej szlachetne zapały, odwodzić zaś nie umiem od tego, w co wierzę, jako i ty wierzysz.

Od tej chwili pani podkomorzyna uspokoiła się nieco, a raczej, poddała zupełnie czarom, bacząc teraz, jakby trudu Emilce oszczędzić, jak ją wyręczyć Prószyńskim, a jak uprzedzić jej życzenie.

Juliusz Grużewski stał się teraz częstym w Liksnie gościem i pożądanym gościem, bo za każdym razem zwoził nowiny, bo pani podkomorzyna z prawdziwem rozradowaniem poglądała, jako do wczoraj jeszcze pełna rozwichrzenia lekkiego postać młodzieńca w oczach mężniała, na stal się urabiała w ogniu haseł ziemi. Grużewski nadto był dla paui podkomorzyny wcieleniem jednego z tych serc, które biły pragnieniem czynu, był może jednym z tych, któremu sądzonem było ponieść sztandar, rączkami Emilki uszyty — więc tysiąc przyczyn, aby w Liksnie dobre znalazł przyjęcie. A nadto, widząc, z jaką niecierpliwością wygląda przyjazdu Grużewskiego Emilka, z jakiem wita go ukontentowaniem, jak skwapliwie wyczekuje odbycia z nim, na uboczu, dłuższej rozmowy — pani podkomorzyna o daleko bliższej myślała konspiracyi. Raz nawet, nawiązując przesłankę do ładunków, które hrabianka z Juliuszem układała w skrzyneczki, pani Zybergowa napomknęła coś o niebezpieczeństwie wybuchu, zgoła łatwego dla nagromadzenia tylu palnych materyi w rękach tak palnych istot,—lecz Emilka uśmiechnęła się w odpowiedzi z tak szczerem zdumieniem, że oczywiście nie zrozumiała intencyi. Grużewski wzamian głowę pochylił i pokraśniał. Pani podkomorzyna poczytała to za dobrą wróżbę i, aby nie płoszyć wróżby, poprzestała na tej uwadze.

Życie w Liksnie, choć i przy rewolucyjnych turbacyach i odgłosie politycznych i wojskowych kalkulacyi, znośnie się układało. Pani podkomorzyna takiego nabrała gustu do militarnej sztuki, a takiego dla horoskopów dyplomatycznych rezonu, iż sama sobie się dziwiła.

DCN.

Kaprys.

Złote mozolnie przędę sidła
ręką, co krwawi i co rani —
bo są potrzebne mewy skrzydła
do kapelusza mojej pani.

W serca kolibrom wbijam szpilki
ręką, co krwawi i co rani —
dla jednej życie dają chwilki
do kapelusza mojej pani.

Barwne motylom rwę skrzydełka
ręką, co krwawi i co rani —
wszak nie są niczem — bawidełka
do kapelusza mojej pani.

Puchy z łabędzia zdarłem białe
ręką, co krwawi i co rani —
ptaszął zabiłem rzesze całe
do kapelusza mojej pani.

I serc rozdarłem tyle — tyle —
ręką, co krwawi i co rani —
wszystko dla jednej—w jednę chwilę,
do kapelusza mojej pani.

Skończone cacko z ptasich skrzydeł
ręką, co krwawi i co rani —
ale już innych chce świecideł
do kapelusza moja pani.

Jan Sokolicz Wroczyński.

Władysław St. Reymont.

MARZYCIEL.

35

Pociąg wyrzucił go na jakiejś małej stacyjce i powlókł się dalej. Na peronie było pusto, zimno, mokro i ciemno, tylko gdzieś po krańcach stacyi tliły się czerwone światła haltsygnałów. Noc była prawie czarna, wicher przewalał się z głuchym poszumem i zacinał drobnym, dokuczliwym deszczem, pola szarzały przemiękłemi śniegami. Józio rozejrzał się w ciemnościach, binokle schował, postawił kołnierz i odważnie ruszył plantem, brnąc przez kałuże i potykając się na wekslach. Mikado bowiem mieszkał o parę wiorst za stacyą, ale, na szczęście, czekał na niego dróżnik przy pierwszym przejeździe i, dosłyszawszy kroki, zamachał zapaloną latarnią i krzyknął:

— Jesteśmy! Chłopcy, nastawiać wózek! Myślałem, że się już pana nie doczekamy.

— Spóźniłem się na osobowy. Dawno czekacie?

— Od pośpiesznego! Pan dozorca kazał nam czekać choćby do rana.

Szczęknęły koła ustawiane na szynach i ktoś zawołał z ciemności:

— Gotowe! Będziemy w trymiga! Wojtek, daj sztosa, ino krzepko!

Dwóch robotników stanęło na platformie kolejowego wózka i zaczęli go odpychać długiemi kijami, niby łódź z mielizny, a trzeci leciał ztyłu, dawał co chwila sztosa ze wszystkiej mocy i wieszał się na krawędzi platformy, aby nieco złapać powietrza. Wózek tylko zawarczał i, bijąc z hukiem o złączenia szyn, potoczył się, jak kula, po dosyć dużym spadku.

— Uważać na sygnały za nami! — przypomniał Józio, siedzący na przodzie obok dróżnika, trzymającego zapaloną latarnię.

Przed wózkiem leciał świetlisty krąg, w którym migotały połyskliwie szyny, obmokłe podkłady, szare, drgające przędziwa deszczu, niekiedy słupy telegraficzne i uśpione domki dróżnicze.

— Dużo przyjechało gości?

— A bogać ta mało! We trzy wózki przywieźlim z kuryera.

— I sami tylko panowie? — rozpytywał.

— Niby bez żonów? juści. Jest ino ta panna, co się cięgiem szwenda po stacyach. Obyłoby się to bez niej! Jeszcze onegdaj przyszła w nocy i siedzi...

Wyminął ich jakiś towarowy, ciężko sapiący pod górę.

— Pociąg za nami, już przechodzi stacyę! — meldował któryś z robotników.

— Ostro, chłopcy, żeby chociaż zdążyć do przejazdu...

Głuchy, prędki, monotonny a rozdygotany łomot kół zbliżał się do nich z coraz większą szybkością, że ledwie zdążyli zrzucić wózek, pociąg przeleciał, jak huragan, czerwonemi światłami zamigotał i przepadł gdzieś w nocy i głębokich przekopach.

— A tam co się dzieje? Biją się, czy co? — spytał naraz Józio, wskazując na jakieś oświetlone okna niedaleko przejazdu, z których wydobywały się rozpaczliwe zawodzenia.

— Zaśby się ta bili! To ino Kowalik wyciąga kopyta i targuje się ze śmiercią. To ten, co go to pociąg zmaglował! — objaśniał dróżnik.

— Nic o tem nie słyszałem! Kiedy?

— A tej nocy, jak pociągi stanęły! Był na obchodzie; kurzyło, że ręki nie dojrzał, ekspres tyrpnął go buforami, jaże mu popękały wszystkie żebra, i gotowy! Będzie dopiero z rok, jak nasz pan zrobił go dróżnikiem. Prędko wysłużył, prędko! Dycha to jeszcze, Michał, co? — krzyknął do jakiejś latarni, śpieszącej z domu do przejazdu.

— Ostatnią parą już zipie, do rana skończy! A tak się chudziak morduje, jaże straszno patrzeć! — odpowiadał przełzawiony głos.

— Był doktor?

— Przyjeżdżał trzy razy. Zrobił swoje, a teraz śmierć robi swoje...

Nie było czasu na dłuższe rozgadki; wózek znowu się potoczył, ale już znacznie wolniej i ciężej, gdyż droga zaczęła się wznosić pod górę i łukami, a przytem wiatr bił w twarze i deszcz zacinał coraz gęstszy, że uważniej oglądali się na sygnałowe światła, które, niby oczy wyzierające z ciemności, stróżowały nad linią kolejową.

Ale kiedy przejeżdżali wysoki, czarny bór, zrobiło się im jakoś strasznie, bo tak ponuro szumiały drzewa, tak żałośnie jęczały druty telegraficzne i takie dziwne głosy hukały w leśnych ciemnicach, że poczuli jakby śmierć krążącą do koła, aż niejeden się żegnał i pacierz szeptał, zaś dróżnik zaczął się cicho wyżalać przed Józiem na swoję ciężką dolę:

— Człowiek się drze na służbie prędzej tego buta! Jakże, przecież piątek czy świątek, deszcz czy mróz, dzień czy noc, jednako musi się warować! A te maszyny panie, to jak wściekłe zwierzaki: ani się spodziejesz, kiej cię przychwyci, a na śmierć zakotropi! Nawet ten łańcuchowy pies ma lepiej, bo mu chociaż na noc dają folgę...

— To prawda! przytwierdził, ale naraz spytał szorstko:—Daleko jeszcze?

— Będzie ze trzy wiorsty, zaraz za lasem.

— Cóż, nie żal wam pana Buczka?

— Juści co żal! dobry przecież pan, sprawiedliwy, wyrozumiały i nie zdzierus jak drugie! A z każdym się rozmówi po ludzku, pośmieje i tak o wszystko wypyta, jaże człowiekowi robi się lżej na duszy. Mnie to nawet chłopaka trzymał do chrztu! A czy to prawdaco ludzie bają, jako wyjeżdża uczyć się niby na tego malarza?..

— Prawda!—odparł takim tonem, że dróżnik zaczął mówić odważniej.

DCN.

Juliusz Zeyer.

STRATONIKA.

Fragment z helleńskiej romantyki.

5

Udał się tedy niezwłocznie do Stratoniki. Zastał ją w komnacie, obwieszonej babilońskiemi kobiercami, z których ciemno-czerwonego tła występowały wizerunki olbrzymich Persów w jasnych, powłóczystych szatach, fruwające jastrzębie i różnobarwne, uskrzydlone, chimeryczne zwierzęta. Królowa przyrządzała właśnie lekarstwo, przez niego choremu przepisane. Złotym nożem siekała na marmurowej desce wonne zioła i korzenie, do których pomocna jej ciemnobrewa, posępna nubijska niewolnica, sączyła drogocenny balsam arabski z kryształowego naczynia.

Erazystratos wszedł, a zbadawszy przygotowany lek, rozpoczął z królową już poprzednio w samotności ułożoną rozmowę.

— Wszystkie te środki — rzekł, wskazując lekarstwo—pomagają wprawdzie biednemu Antyochowi, ale, o, bogowie! nie są one w mocy go ocalić! Tego jestem już dziś najzupełniej świadomy.

— Co mówisz!?—zawołała Stratonika, upuszczając złoty nóż z drżącej ręki.—Czy dostrzegłeś objawy nowej jakiej choroby? Czy znów się pogorszyło, że tak upadłeś na duchu i wszelką straciłeś nadzieję?

— Sądzę, że teraz dopiero natrafiłem na rzeczywistą przyczynę złego—i to mnie gnębi niepomiernie.

— Cóż to za zło?—bez tchu prawie rzuciła pytanie Stratonika.

— Wedle wszelkich oznak, nie wskutek choroby ginie Antyochos, ale jakoweś straszne, groźne mocne czary są przyczyną jego zguby.

Królowa pobladła.

— Jest że kto, coby mógł do tego stopnia Antyocha nienawidzieć?

— Zapewne jakaś kobieta—odparł lekarz.

Stratonika spłonęła oburzeniem.

— Czyż ziemia mogłaby znieść na sobie taki twór przewrotny, który świadomie i niegodziwie pożądałby zguby Antyocha, Antyocha, który tak jest dobry, słodki i do kochania stworzony jedynie—zmieszana spuściła oczy i zamilkła.

— Do kochania—podchwycił Erazystratos.—Otóż, w tem właśnie tkwi istota rzeczy. Jakowaś miłość namiętna zdaje się spoczywać na dnie owej posępnej tajemnicy.

— On kocha, Antyochos kocha!—jak gromem rażona, wykrzyknęła Stratonika i nerwowo chwyciła lekarza za rękę.—Ty wiesz o tem... kogo?... powiedz kogo? Chcę wiedzieć, kto wkradł się w jego serce! Słyszysz... Chcę ją znać!—szeptała coraz natarczywiej, policzki jej były w ogniu, oczy ciskały błyskawice płomienne,—nagle atoli zamilkła i bladość śmiertelna pokryła jej twarz.

— Nie wiem, królowo, kto go miłuje—westchnął Erazystratos.—Może jedna z tych kobiet, które napotkał hen, w oddalonej ojczyźnie matki swojej. Powiadają, że kobiety tam piękne, jak zjawy nadziemskie, ale zarazem, jak wiedźmy tessalskie, wszystkich czarów i zaklęć świadome.

— Gdyby go która z tych kobiet kochała — poczęła królowa po chwili milczenia, tłumiąc niepokój — przecz ścigałaby go klątwą i przywodziła do zguby czarami?

— Cóż atoli jest bardziej blizkiego gorącej miłości, jak nie płomienna klątwa nienawiści? Jeżeli ta nieszczęśliwa o miłość jego żebrała daremnie...

— Jest że więc tak nieczuły i okrutny?—spytata głosem niepewnym Stratonika.

— Sądzę, że nie—zauważył lekarz. Ale skoro obraz jednej kobiety duszę nam wypełni, to nawet cień drugiej miejsca w niej nie znajdzie.

Wielka jasność, niby dnia witanie, rozpromieniła ciemne oczy królowej, pierś jej głębokiem westchnieniem ulgi się podniosła, i uśmiech zadowolenia nieznacznie rozchylił kąty jej ust.

— A gdyby tak było, jak powiedziałeś—rzekła, przechylając wdzięcznie ku Erazystratowi swoję piękną głowę — to czyż twoja nauka nie posiada mocy, aby klątwę ową ponurą odegnać i wszelki czar rozpędzić, jako mgły?

— Jest, coprawda, środek przeciw groźbie klątw i czarów tajemnicy, ale nie dostać mi go na tym świecie, gdzie egoizm wyłącznie panuje. A wiesz, czego byłoby mi trzeba?... Krwi! kilku kropel krwi niewiasty, któraby je z najczystszej, bezinteresownej miłości, z przyjaźni ofiarnej ku Antyochowi z własnego serca chciała wysączyć; któraby tak bardzo życzliwą była choremu, jak mocno i namiętnie tamta go nienawidzi! Widzisz więc, królowo, że chory mój jest zgubiony.

— Przecz nie możnaby znaleźć, czego żądasz? wyszeptała królowa w zadumie, a ciche łzy spływały po jej policzkach. — Kilku kropel krwi!... kilku kropel krwi!...

— Ba—gdyby to chodziło o krew sarny, lub gołębia—uśmiechnął się Erazystratos—jakże błahem byłoby moje żądanie! Ale zważ jeno dobrze, że tu potrzeba krwi niewiasty, któraby dobrowolnie swe serce złożyła w ofierze.

— Alkestis postępowała za swym małżonkiem ku ponurym brzegom Acherontu... — zaszemrała Stratonika, jak we śnie.

— To było w zamierzchłych czasach baśni — odrzekł lekarz.—Zresztą Antyochos nie ma żony.

Królowa przymknęła oczy w zamarzeniu i przemówiła cichym, słodkim głosem:

— Sądzę, przyjacielu, że nim słońce zajdzie, przywiodę ci tę, która chętnie krew swoję da za Antyocha i zachowa Seleukowi jedyną jego radość, a wielkiemu państwu najpiękniejszą zachowa nadzieję.

Przesławszy mu ręką pożegnanie, królowa opuściła komnatę. Erazystratos stał niemy i drżący pod wrażeniem cichych jej słów. Śniada niewolnica bez przerwy sączyła drogocenny balsam arabski do aromatycznych leków, dopóki naczynie nie zostało opróżnione, poczem usiadła na ziemi i zapatrzyła się chmurnie w zalane słońcem ogrody, widne przez otwarte drzwi komnaty. Bezmiar tęsknoty, cierpienia i smutku był w ponurem jej oczu spojrzeniu.

— Cobyś chciała, aby ci spełnili bogowie?—zapytał nagle Erazystratos, który bezwiednie jej się przypatrywał.

Niewolnica podniosła się szybko i spojrzała na niego wielkiemi, zdziwionemi oczyma.

— Chciałabym wrócić do domu, lub umrzeć!—rzekła z prostotą i odeszła.

— Ile rozlicznych pragnień i bolu, ile łez i tęsknot, pod jednym zgromadzonych dachem! I dlaczego ten sen marnego cienia, to nasze życie, jak go nazywa poeta, jest takie krótkie; a pomimo to nie możemy jeszcze prześnić go w szczęściu — myślał Erazystratos, nad losem Antyocha i biednej Stratoniki zadumany. Był te-

raz niemal pewny, że i ona go kocha, nieszczęśliwa. A Seleukos?.. Erazystratos, zgnębiony nieszczęściem tych trojga drogich mu istot, musiał przecież przyznać ze smutkiem, że żadnego dla nich nie było ratunku. Tylko bogowie mogli rozplątać to, co ślepy przypadek powikłał tak okrutnie.

W tych myślach pogrążony, lekarz do chorego powrócił. Dnia tego musiał wielką otaczać go troskliwością, albowiem Antyochos był smutniejszy i bardziej, niż zwykle, rozdrażniony. Królowa wcale nie pojawiła się u łoża chorego, co jeszcze bardziej pogorszyło stan biednego młodzieńca. Dopiero pod wieczór chory zdrzemnął się nieco, i zmęczony lekarz mógł do swej komnaty się oddalić. Rzucił się na miękki kobierzec, rozpostarty na mozajkowej posadzce, aby chociaż krótką chwilę w śnie odpocząć, — zaledwie jednak powieki opadły na zmęczone oczy, gdy szelest szybkich lekkich kroków go obudził. Zasłona u drzwi rozchyliła się nieznacznie—i królowa Stratonika, otulona w modry swój zawój, rozgwieżdżony blaskiem srebrnych i szafirowych skier, niby cień, wśliznęła się do komnaty. Przedziwną jasnością gorzały jej oczy, a z pod zawoju wynurzała się twarz, jako marmur paryjski blada.

— Erazystracie—rzekła z mocą,— przynoszę ci owo serce, którego krew uleczy nieszczęśliwego Antyocha. To... moje serce. Weź jego krew... ofiarowuję ją z wielkiej bezinteresownej przyjaźni, jako sam żądałeś.

To mówiąc, z prostotą i spokojem obnażyła pierś własną i podała mu nóż, aby w nią uderzył.

Lekarz, zadziwiony i wzruszony głęboką, niekłamaną miłością, którą patrzały obłędne, wilgotne, ciemne jej źrenice, przekonany o sile jej woli i niewzruszonem jej postanowieniu, co rychlej broń jej odebrał, ażeby sama zamiaru swego nie uskuteczniła.

— Mało jest macoch, tobie podobnych—wyrzekł cicho. — Zaprawdę, miłujesz go, jak syna...

— Nie przystoi teraz ani mnie, ani tobie używać słów dwuznacznych i przewrotnych — poczęła z prostotą i, nie zmieszana, bez wstydliwego na twarzy rumieńca, patrząc śmiało w przenikliwie utkwione w nią oczy lekarza, dodała z mocą: Kocham Antyochosa całą siłą mej duszy i każdym przejawem biednej myśli mej, a kochanie moje jest bez granic. Miłość moja jest grzeszna i występna, albowiem żoną innego jestem, a ten, którego miłuję, jest synem mojego małżonka. Bogowie wtrącili mnie bez litości w ten wir, w tę przepaść obłudy i grozy. Jesteśmy jeno w ich ręku igraszką. Cierpienie i boleść są naszym udziałem, a oni z pogodnym, złotym, olimpijskim uśmiechem swych pięknych, bezlitosnych twarzy, poglądają, jak wijemy się w mękach bez nadziei.

— Tak młoda jesteś, a tak wiele w słowach twych goryczy!—zauważył lekarz.

— Cierpienie jest miarą moich słów.

— Nie złorzecz bogom, to zgubę przynieść może. Ukórz się przed nimi i woli ich się nie sprzeciwiaj!

— Jest że złorzeczeniem to, że oczekuję swej kary, że za grzech swój żałuję, a nie mogąc przemódz mej słabości, śmiercią ukarać ją pragnę? Tak, szukam śmierci, pożądam jej z twej ręki... i bogom bezlitosnym dziękuję, że pozwalają mi przynieść z krwi ocalenie temu, do którego to rozbolałe serce i wszystka płomienna krew moja należy!

— Czy dawno już miłujesz go, królowo?—spytał po chwili milczenia, wzruszony do głębi Erazystratos.

Stratonika zapatrzyła się marząco na pławiące się w złocie wieczoru niebiosa, na których rozproszone stada lekkich chmurek łączyły się ze spokojnym lotem wspaniałych ptaków,— wspaniałych, bo nie dotkniętych nędzą ziemi, szczęśliwych, bo upojonych nieskończonością przestworu. O, jakże pragnęłaby lecieć za niemi, w onej niebiańskiej skąpana światłości, lecieć kędyś w dal poza góry, poza morza! Tam musiało przecież przebywać szczęście—tam uśmiech wiecznego spokoju dokoła się rozlewał.

— Czy dawno go miłuję?..—powtórzyła cichym, sennym głosem. Tego sama nie wiem, Erazystracie, przyjacielu mój! Dziś dopiero, po ostatniej z tobą rozmowie, przeczucie nieświadomego kochania we mnie widomych nabrało kształtów. Dziś dopiero uświadomiłam sobie, że tak mi go kochać nie wolno. Ach, przyjacielu, jakże bardzo jestem nieszczęśliwa! Przez wieczne bogi, tylko ty nie zdradź przed nim mojej tajemnicy! Biada mi, gdyby ją odgadł! Widzę już, jak z nienawiścią odwróciłby się ode mnie; widzę jego oczy, tak pełne dobroci i słodyczy, jak ze wstrętem i gniewem ku mnie spoglądają. Oh!.. żona Seleuka, pałająca miłością ku Antyochowi! Dawne kazirodztwo Fedry w nowej postaci powstaje z Erebu i w wężowych splotach włosów oblicze jego ku słońcu się podnosi, które twarz swą jasną skrywa w przerażeniu. O, Erazystracie! miej litość nade mną i zatop nóż w przepełnione winą piersi me!

Padła na posadzkę i objęła jego kolana.

Lekarz starał się wszelkiemi siłami ją podnieść, ale, przemożony jej oporem, pozostawił ją klęczącą, z głową wspartą na jego kolanach. W komnacie panowała cisza, tylko tłumiony jej płacz mieszał się z poszumem drzew, wnikającym do wnętrza z ogrodów. Nagle rozległ się wdali śpiew słowiczy. Na dźwięk jego pieśni Stratonika podniosła zwolna łzami zalaną twarz: „I Antyochos kocha inną, nie mnie"—wyszeptała z wielkim bólem.

— Chciałażbyś, aby wobec swego ojca był winien, jako ty?—spytał lekarz badawczo.

— Nie, nie!—odpowiedziała szybko, zmieszana i zalękniona. — A jednak... — mówiła ze smutkiem — kiedyś rzekł, że ściga go klątwa kobiety, którą od siebie odtrącił, serce moje i mózg jedną zajaśniały myślą: że Antyochos dla mnie jedynie wzgardził tamtej kobiety miłością...—Ukryła twarz w zawoju i zamilkła.—Ale wnet pomyślałam sobie—ciągnęła dalej po chwili—że się mylę; i wtedy poczułam się nagle tak nieszczęśliwą, tak nieskończenie biedną, żem zażądała śmierci. Nie wiem, zaprawdę, Erazystracie, co mi więcej cięży: czy świadomość mej winy, czyli też myśl, że Antyochos inną, a nie mnie miłuje!—wołała, rozpaczliwie załamując dłonie.

— Nie, Stratoniko!... żadnej innej nie kocha, kocha ciebie i przeto umiera — wyrzekł niebacznie Erazystratos, wzruszony jej cierpieniem.

Stratonice różana łuna uśmiechu oblała twarz, jakieś słowa niewyraźne zaszeptały radośnie rozchylone jej usta, nagle atoli rumieniec jej lic pokrył się bladością, i królowa popadła w omdlenie, równe śmierci.

Przerażony Erazystratos zawezwał jej służebne i długo przy ich pomocy cucił ją bezskutecznie. Kiedy nareszcie czucie powrócił zmartwiałym jej członkom, rozkazał, aby służebne do jej łożnicy ją zawiodły. Sam towarzyszył jej ku wyjściu i szeptał przez drogę: Tajemnica twoja, jak w grobie, w piersi mej schowana. Ani słowem nie zdradź się przed nikim. Nie rozpaczaj! Może zdołam pomódz tobie i Antyochowi.

DCN.

Robert Hichens.

OGRÓD ALLAHA.

Przekład z angielskiego.

38

Szła wolno, aż przyszła przed palarnię. Weszła i siadła.

Nie ujrzała żadnego z ogrodników, nie usłyszała tonów fletu. Dzień ten był bardzo głuchy. Spojrzała na wązki otwór drzwi i wspomniała dokładnie postawę, w jakiej stał hrabia Anteoni podczas ich pierwszej rozmowy, trzymając chwiejącą się gałąź bugenwilei w ręku. Ujrzała go, jak cień, który zabrała pustynia.

Spojrzawszy na ziemię, na kobierzec piaskowy, wyobraziła sobie postać wróżbity z piasku, przykuczniętą i wygłaszającą swe wróżby. I oto teraz poznała, że wierzyła im. Wierzyła, że będzie kiedyś w pustyni śród burzy i że obok niej, w palankinie osłoniętym, będzie jeszcze ktoś inny. Wróżbita nie powiedział, kto będzie jej towarzyszem. Ciemność była dokoła niego, która przesłaniała oczy proroka. Jej atoli serce orzekło. Widziała drugą postać w palankinie. Był to mężczyzna. Androwski.

Wierzyła, że uda się w pustynię z Androwskim, z wędrowcem, o którego całem życiu, o duszy, nic zgoła nie wiedziała. Tak jej mówił jakiś fatalizm przyrodny, który był w niej. A teraz?..

Ciemność cienia pod drzewami w tym najbardziej ustronnym zakątku ogrodu padł na nią, jak cień tej burzy, która miała zmieść całą pustynię, i trwożnem to stało się dla niej, bowiem uczuła, iż musi być sama w tę burzę. Dotychczas była w życiu samotną i doznała, że samotność ta była przykrą, że rozwijać się śród niej było trudno, że hamowała ona ruchy wędrowca, który pragnie iść wzwyż, na szczyty życia. Dotychczas atoli nie odczuła nigdy tragedyi samotności i strasznej jej grozy. I oto, siedząc teraz w palarni i patrząc na gładko usypany piasek, przyszła do przekonania, iż aż do tej chwili nie miała całkiem pojęcia o znaczeniu samotności.

Kochała Androwskiego. Wszystko w niej kochało go; wszystko, czem była niegdyś, wszystko, czem była teraz, wszystko, czem mogła być w przyszłości, kochało go; wszystko, co było cielesnego w niej, co było duchowego, mózg, serce, dusza, ciało i płomię żywotne — wszystko, co zachwyt budzi i co jest kobiecem, kochało go. Cała była miłością dla Androwskiego. Zdało się jej, iż niczem jeszcze dotychczas nie była, iż niczem nigdy nie była. Lata ubiegłe były niczem, cierpienia, których doznała, kiedy jej matka uciekła, któremi umęczyła się, kiedy ojciec jej umarł złorzecząc, były niczem. Nie było w niej miejsca dla niczego, prócz dla tej jednej miłości. Nawet miłość dla Boga zdała się być odsuniętą, wygnaną. Potem przypomniała to sobie. Teraz nie myślała o tem. W całym wszechświecie obecnie była dla niej jedna tylko postać — Androwski. Była pomną w sobie tylko tej miłości. Była niepomną Siły Twórczej, której zawdzięczała, iż on był tutaj, by był przez nią kochany. Była namiętnością, a on był tem, ku czemu namiętność ta gorzała.

Świat był potokiem i morzem.

Gdy tak siedziała tutaj z rękoma, splecionemi na kolanach, z oczyma spuszczonemi, otoczona purpurowemi kwiatami dookoła, uczuła się prostszą i czystszą, jak gdyby mnóstwo drobiazgów odpadło od niej, pozostawiając miejsce dla rzeczy większej, która odtąd miała na zawsze w niej zamieszkać i panować nad jej życiem. Wstyd palący, którego doznała nocy wczorajszej, gdy Androwski rzekł jej o swym wyjeździe i gdy została olśnioną, jak błyskawicą piorunową, zamarł w niej teraz zupełnie. Wspomniała o tem ze zdziwieniem. Jakże mogła się była wstydzić swej miłości? Uważała, iż niepodobieństwem było wstydzić się nawet w tym razie, gdyby Androwski wiedział to wszystko, co ona wie.

Naraz poruszyła się. Podniosła oczy z piasku i spojrzała na ogród. Oprócz tej prawdy, która była w niej, było jeszcze coś innego na świecie, co było także prawdą. Androwski miał odjechać. Gdy tu siedziała, mijały chwile. Chwile te utwarzają godziny, które zawisły nad zagładą. Siedziała teraz w ogrodzie, i Androwski był niedaleko. Upłynie czasu miara niewielka. Będzie znów tu siedziała, a Androwski będzie daleko — odejdzie z pustyni, odejdzie z jej życia — niewątpliwie na zawsze. I ogród się nie zmieni. Każde drzewo będzie stało na swem miejscu, każdy kwiat będzie dalej woń swoję wylewał. Powiew łagodny będzie muskał koronkę drzew, potoki będą toczyły się pomiędzy wałami piaszczystemi. Niezbłagane słońce będzie świeciło, i pustynia w swych błękitnych rozłogach będzie pełna szmeru rzeczy niewidzialnych, które w niej wiecznie pracują.

Obejrzała się dokoła, jakby wzywając Przyrodę bezduszną, by zasłoniła ją przed jej losem. Nie pomyślała dotąd na chwilę, by siebie osłonić, ratować. Wyszła z hotelu, nie starając się widzieć Androwskiego. Nie miała zamiaru wrócić, aż póki on nie odjedzie. Myśl niewolenia go nie przyszła jej nigdy do głowy. Jest natężenie czucia, które powoduje czyn, lecz jest większe natężenie czucia, które czyni czyn niemożebnym, uczucie, które, zda się, zamienia człowieka w żużel lawy, w którym płoną wszystkie ognie stworzenia. Domini wiedziała, iż nie poruszy się stąd, dopóki pociąg, pełznący wzdłuż brzegów rzeki, nie odejdzie z Beni-Mory.

Wyjęła *Naśladowanie* z kieszonki ubrania i wzięła je do ręki. Widok tych stronic znajomych obudził w niej na razie pytanie: „Czy kocham jeszcze Boga?“ I tuż za tem przyszła odpowiedź: „Czym Go kiedy kochała?“ Świadomość jej miłości dla Androwskiego, dla jego ciała, które widziała, dla jego duszy, którą widziała poprzez ciało, jak płomię widzi się przez szkło, dała jej obecnie to przeświadczenie, iż jeżeli kiedykolwiek sądziła — a było tak niezawodnie — iż kochała istotę, której nigdy nie widziała, której nawet nie wykreślała sobie w wyobraźni, to wtedy łudziła się całkowicie. Fakt wiary nie był niemożebny, lecz fakt miłości dla istoty, na której ześrodkowywała się wiara, wydał się jej niemożebnym. Bowiem jej ciało, które pozostawało biernem, było pełne wybuchu, pełne orgii życia. Zostało ono zbudzonem i wiedziało o tem. I nie mogła już czuć, żeby była zdolną kochać, czego jej ciało nie może dotknąć, co jej ciała dotknąć nie może. I oto rzekła do siebie, bez zgrozy, a nawet bez żalu: „Nie kochałam, nigdy nie kochałam Boga“.

Spojrzała na kartę książki: „Wielką rzeczą jest miłość i wielkiem ze wszech miar dobrem, które jedynie lekkiem czyni wszystko, co jest trudnem“. „Niewysłowną jest słodycz wzierania Ciebie, którą obdarzasz tych, którzy Cię kochają“.

Słodycz wzierania ciebie! Stanęła jej przed oczyma twarz Androwskiego, patrząca z serca słońca, gdy po raz pierwszy spotkali się w krainie błękitu. W tej chwili kładła go świadomie na miejsce

Boga, i nic jej nie mówiło: „Popełniasz grzech śmiertelny".

Raz jeszcze zajrzała do książki i oczy jej upadły na słowa, które czytała w pierwszy swój ranek w Beni-Morze:

„Miłość czuwa i śród snu nie usypia. Wśród pracy nie utrudza się, wśród więzów nie jest spętaną, śród trwogi nie miesza się, lecz, jak żywy płomień i gorejąca pochodnia, w górę wybucha i bezpiecznie przechodzi. Kto kocha, ten rozumie, co ten głos znaczy".

Lubiła zawsze te słowa i uważała je za najpiękniejsze w całej książce, lecz teraz spłynęły ku niej nowością pierwszego wiosennego poranka, który niegdyś rozgorzał nad światem. Głębia ich obnażyła się dla niej, a z tą głębią i głębia jej serca. Męka odbiegła. Nie patrzała już wokrąg, szukając od Przyrody pomocy. Słowa te bowiem powróciły ją samej sobie, pokazały ją samej sobie i jej miłość, i dały jej ją poznać. „Wśród trwogi się nie miesza—bezpiecznie przechodzi". Było to prawdą, prawdą bezwzględną—jak jej miłość. Widziała ją teraz i widziała lico Boga, lecz mniemała, że widzi tylko lico ludzkiej miłości. A było ono tak pięknem i tak dziwnem, iż nawet łzy, które na nie upadły, dały jej moc i otuchę — iż rzekła sobie: „Nic, nic mnie nie trwoży, nic mnie nie obchodzi, dopóki miłość tę mam w sobie. On odszedł, ja atoli nie jestem smutna, ponieważ z nim idzie moja miłość, wszystko, czem jestem — idzie z nim i przy nim wiecznie zostanie".

I wtedy zdało jej się, iż, gdyby zobaczyła Androwskiego martwego, leżącego przed nią na piasku, nie czułaby się nieszczęśliwą. Nic nie mogło uszkodzić jej wielkiej miłości. I od tej chwili trwoga ją opuściła, niepokój opuścił ją. Ktoby patrzał na nią z ogrodu, myślałby wtedy, iż jest ona pod urokiem wielkiego i cichego szczęścia.

Właśnie w tej chwili doszło do jej uszu stąpanie po piasku ogrodowym. Mężczyzna, wolno stąpający, z rodzajem jakiejś zaciekłej przekory, jak gdyby coś niezwykle mocnego starało się go zatrzymać, wyszedł z szalonego blasku słońca na cienie ogrodowe i począł przeszukiwać ich ciche ustronia. Był to Androwski. Wyglądał staro i jak winowajca, był pochylony. Dwie linie koło jego ust były bardzo głębokie. Usta jego drgały. Chude policzki zapadły, jak policzki człowieka, trawionego przewlekłą chorobą, a silna barwa opalenizny na nich zdała się być jedynie niedostatecznem pokryciem dla bladości, która, w pełni widoma, była straszniejszą, niźli bladość trupa. W oczach jego był wyraz uporczywy strasznej boleści, który zdawał się kojarzyć ze straszną złością.

Począł przetrząsać ogród kryjomo, lecz drobiazgowo. Chwilami się wahał. Chwilami przystawał spokojnie. Znowu zawrócił i szedł małą dróżką ku wielkiemu placowi, usypanemu piaskiem, który się kąpał w blasku słonecznym, gdzie stała willa. Lecz naraz zawrócił, z mocniejszem postanowieniem, i znów szedł cieniami, które rozścielały się pod gęsto rosnącemi drzewami. Raz zagadał do siebie głosem nizkim, który zadrgał, jak z trudem hamowane łkanie, podstępujące do gardła.

„*De profundis*" rzekł.—*De profundis... de profundis...*"

Głos zamarł. Uchwycił dłonią dłoń i, trzymając je, szedł dalej w milczeniu.

Teraz skierował kroki ku palarni, w której Domini wciąż jeszcze siedziała z ręką, pozostającą na otwartej stronicy, której słowa rozświetliły ciemności jej ducha. Przybliżył się tak cicho, że nie słyszała jego kroków. Zobaczył ją, stanął cicho, bez ruchu pod drzewami i patrzał na nią przez dłuższą chwilę. Gdy to czynił, zdawało się, że się przeobraża w innego człowieka. Od razu stał się młodszym z wyglądu. Postać wyprostowała się sama. Ręce przestały drżeć.

Postąpił od drzew i zbliżył się ku drzwiom otwartym palarni.

Domini podniosła wzrok, zobaczyła go i wstała szybko, zaciskając palce dokoła małej książeczki.

Androwski stanął właśnie u drzwi. Zdjął kapelusz, trzymał go w ręku i rzekł:

— Przyszedłem tu pożegnać panią.

Zrobił ruch, jakby chcąc wejść do palarni, lecz Domini powstrzymała go, kierując się szybko ku wyjściu. Czuła, iż nie mogłaby mówić do niego w zamknięciu tych ścian, pod dachem. Usunął się z drogi. Wyszła i stanęła obok niego na piasku.

— Czy pani wiedziała, że ja przyjdę?—rzekł.

— Nie—odrzekła.

— Czy miała pani powrócić przed obiadem do hotelu?

— Nie.

Przez chwilę milczał. A potem rzekł powoli:

— Tedy... pani nie życzyła sobie... nie miała zamiaru widzieć mnie, zanim odjadę.

— Nie... nie to. Przyszłam tu do ogrodu... przyszłam tu... chciałam być samą.

— Chciała pani być samą? — rzekł.—Chciała pani być samą?

Moc jego odrazu zagasła w głosie jego i w twarzy, i dawna niezaradność znowu się zbudziła. Straszny wyraz bólu odbił się w jego oczach.

— Czy to dlatego... wyglądała pani tak szczęśliwie?—rzekł głosem drżącym i szorstkim.

— Kiedy?

— Stałem przez dłuższy czas, patrząc na panią, gdy była pani tam... wskazał na palarnię—i twarz pani była szczęśliwą... twarz pani była szczęśliwą.

— Tak jest, wiem o tem.

— Pani jest szczęśliwą, będąc samą?.. samą w pustyni?

Spojrzała na niego i nic nie powiedziała.

— Pani nie będzie szczęśliwą, będąc samą.

Głos jego nie drżał już. Ujął jej lewą rękę nerwowo, niezręcznie, lecz trzymał ją mocno w swej dłoni u swego boku i tak mówił dalej:

— Nikt nie jest szczęśliw sam. Nikt... kobieta i mężczyzna... dzieci... zwierzęta. Ptaki nawet... też muszą mieć towarzystwo. Wszystko poszukuje towarzysza.

— Tak.

— Lecz tedy... pani zostanie tu sama w pustyni?

— Cóż mogę zrobić?—rzekła.

— A podróż ta—mówił dalej, wciąż trzymając jej rękę u swego boku,—pani wyprawa w pustynię... uda się pani w nią sama?

— Cóż mogę zrobić? — powtórzyła cichym głosem.

Miała wrażenie, iż on pcha ją gdzieś stanowczo w największe ciemności.

— Pani nie pojedzie sama.

— Owszem, pojadę.

— Ja... ja nigdy nie poznam pustyni—mówił dalej.—Sądziłem... zdawało mi się, że ja także pojadę w nią kiedyś. Pragnąłem tego bardzo. To pani sprawiła, że pragnąłem tego.

— Ja?

— Tak jest. Razu pewnego rzekła pani, że tam musi być pokój. Było to na wieży... po raz pierwszy kiedy pani mówiła do mnie.

— Pamiętam.

— Dziwno mi... często mi dziwno, poco to pani mówiła.

Wiedziała, że patrzy na nią z natężeniem, lecz trzymała oczy utkwione w piasek. Było coś w tych oczach, co czuła, iż on nie powi-

nien widzieć, światło, które wstąpiło do nich, gdy uprzytomniła sobie, iż już wtedy na wieży, zanim znała go jeszcze, kochała go. Była to owa miłość, zrodzona już w sercu, lecz jeszcze nie świadoma swego istnienia, która tak dziwnie podniosła wówczas czar wieczoru afrykańskiego, gdy patrzyła na pustynię z nim razem.

Nie mogła tego pojąć, by Androwski nie kochał jej, by jej nie pokochał od pierwszej chwili, gdy ją zobaczył w słońcu. Dla niego— też—pustynia uczyniła odsłonę jej twarzy, i razem z nią duszy, patrzącej skroś. W płomieniach słońca, gdy razem jechali w pustyni, zmieszały się razem płomienie ich dusz. Wiedziała o tem pewnie i zawsze. Jakże tedy jest to możebnem, by Androwski nie jechał z nią razem w pustynię?

— Poco mi to pani mówiła?— rzekł.

— Jeździliśmy razem w pustyni—odrzekła mu po prostu.—Zeszliśmy się razem.

— A teraz... teraz... musimy powiedzieć sobie...

DCN.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Polonica.

× *Słowacki w Czechach.* Na scenie teatru ludowego „Urania“ w Pradze wystawiona była w końcu sierpnia tragedya Słowackiego „Mazepa“, w bardzo starannym przekładzie znanego literata i publicysty czeskiego, Franciszka Hovorki.

× W zeszycie wrześniowym dwutygodnika niemieckiego *Das litterarische Echo* zamieścił dr. Marek Scherlag z Wiednia artykuł p. t. „Nowoczesna liryka polska“ (*Die moderne polnische Lyrik*), w którym w krótkich, szkicowych notatkach załatwia się z całą plejadą poetów naszych, począwszy od Jana Kochanowskiego.

O wieszczu z Czarnolesia pisze, że jest on „twórcą pierwszych popularnych pieśni, przeniknięty przeważnie rzewnym smutkiem i głębokim bólem“. Następnie charakteryzuje p. Scherlag w kilku wierszach poetów, którzy przyszli po Kochanowskim, zaznacza, że klęski polityczne zmusiły „Muzę do milczenia“, po którem zabłysła konstelacya z trzech gwiazd złożona: Mickiewicz, Słowacki i Krasiński, a potem skreśla kolejno okresy i fazy, przez jakie poezya nasza przechodziła. Począwszy od Norwida, którego nazywa pieśniarzem Orfeuszowym, i Kornela Ujejskiego, wymienia autor artykułu wszystkich wybitniejszych poetów naszych i kończy na najmłodszych. Dłużej zastanawia się nad Asnykiem, Konopnicką, Kasprowiczem, Tetmajerem, Staffem, swoje o nich sądy ilustrując przekładami niektórych ich utworów. Pod wpływem Wyspiańskiego następuje „odrodzenie się duszy polskiej“; „ze sceny woła on do ludu swego, że nietylko należy marzyć o pięknie i wielkości, ale że w pięknie i wielkości żyć także trzeba“. Glińskiego nazywa p. Scherlag najwybitniejszym epigonem romantyzmu, o Gomulickim pisze, że stworzył wzruszający opis Ghetta, o Miriamie —że jest pierwszorzędnym mistrzem słowa i formy, a jako założyciel pisma literackiego i tłomacz poezyi nowoczesnych z wielu języków, położył wielkie zasługi.

Rozmarzony i miękki jest — zdaniem p. Scherlaga — Zdzisław Dębicki, Or-Ot przypomina Gomulickiego, ale jest śpiewniejszy i sentymentalniejszy, Miciński posiada egzotyczne środki techniczne, osobliwe porównania i oryginalne wizye. Wspomniawszy jeszcze pokrótce o innych młodych poetach polskich, jak: Rydel, Żuławski, Orkan, Daniłowski, Perzyński, Komornicka — autor wskazuje źródła, z których natchnienie czerpie liryka polska i tak szkic swój kończy:

„Smutek, wielki smutek jest podkładem uczuciowości polskiej; powstrzymywane łzy, utajony gniew, gorzki żal i tłumiona nadzieja drgają w prawdziwie polskich sercach. A pieśni, które idą z serca narodu, znajdą drogę do serc ludzi szlachetnych.“

Z literatury francuskiej.

× *J. H. Rosny. „Marthe Baraquin“.* Bracia Rosny—podobnie jak bracia Margueritte'owie—wzięli rozwód i każdy z nich stanowi już teraz osobną firmę literacką. Starszy z nich, Józef Henryk, do tej pierwszej samodzielnej powieści zaczerpnął treści z życia ludu. Marta Baraquin pochodzi z najniższych warstw ludności paryskiej, a niżej od niej jeszcze stoją przeważnie mężczyźni, którzy stanowią jej najbliższe otoczenie. Ta robotnica paryska odziedziczyła po ojcu, który ją wcześnie odumarł, pewne cnotliwe zasady i, dzięki im, opiera się namowom upadłej zupełnie matki, pragnącej nakłonić ją do wyzyskania w zwykły sposób niepospolitej urody, jaką natura ją obdarzyła. Opiera się też w dalszym ciągu zalotom różnych uwodzicieli i prześladowców, z których najpotworniejszym jest zwykły sutener, nie dający nigdzie spokoju biednej dziewczynie. Marta, zrozpaczona temi dręczącemi zabiegami, uzbraja się w rewolwer i zabija go na ulicy, wzamian za co towarzysz jego zadaje jej cios sztyletem, lecz pada również, ugodzony śmiertelnie kulą z rewolweru Marty. Ona zaś powraca do zdrowia i zaczyna nowe życie przy boku niemłodego już architekta, który umiał ją pozyskać pełną taktu miłością. — W dziejach tej robotnicy paryskiej, podobnych do dziejów tysięcy jej towarzyszek, pragnął autor, jak zaznacza w przedmowie do książki, dać obraz bolesnego położenia samodzielnej, pozbawionej opieki dziewczyny w kołach robotniczych w Paryżu, gdzie mężczyzna jeszcze dzisiaj uważa się za uprawnionego do bezwzględnego prześladowania każdej kobiety, która mu się podoba.

× *Józef Bédier. „Les légendes épiques. Recherches sur la formation des chansons de geste“.* Książka ta daje nowy, na krytyczno-naukowych argumentach oparty, pogląd na francuską poezyę epicką zaczątków średniowiecza. Według teoryi naukowych Gastona Parisa epopeja francuska pierwszych wieków średnich, jej bohaterskie pieśni, legendy, rapsody, zwane „*Chansons de geste*“, miały początek samorzutny, powstały pod wpływem tych zdarzeń i spraw rycerskich, któremi żyła ówczesna historya Francyi. Józef Bédier, uczeń Parisa, i następca jego w *Collège de France* w ogłoszonej obecnie książce nazwał tę teoryę „poetycznem złudzeniem“ i, na podstawie gruntownych studyów, doszedł do przekonania, że w w. XVIII „samorzutna poezya rycerska“ nie istniała, że pieśni i rapsody o czynach rycerskich nie powstawały pod bezpośredniem wrażeniem zdarzeń. Zebrane przez Bédier'a fakty świadczą, że przeważna część *chansons de geste* powstała dopiero u schyłku w. XI i że niema w nich bezpośredniego materyału historycznego. Zdaniem Bédier'a, pisane były przez poetów i mnichów, jako utwory okolicznościowe, służące za rodzaj poetycznych przewodników do licznie odwiedzanych przez rzesze pielgrzymów miejsc świętych, klasztorów, grobów, począwszy od Paryża—do grobu Ś-go Jakóba w Compostelli. Książka p. Bédier'a wywołała w świecie naukowym żywe zajęcie.

TREŚĆ NUMERU 38-go.

Marzyciel. *Władysław St. Reymont.*
Kaprys. *Jan Sokolicz Wroczyński.*
Emilia Plater. *Wacław Gąsiorowski.*
Stratonika. *Juliusz Zeyer.*
Ogród Allaha. *Robert Hichens.*
Wiadomości literackie.

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: **4** rb. rocznie, **2** rb. półrocznie; **1** rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
Aleja Jerozolimska, № 49.

REDAKTOR I WYDAWCA:
Józef Jankowski.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Zyblikiewicza, № 8

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie